Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.
Konto czekowe w P. K. O. № 13,975.

Cena pojedyńczego numeru 30 gr.
w prenumeracie 25 gr.

ROK IV. 21 MARCA 1929. № 6.

# Szczerbiec

PISMO KATOLICKO-NARODOWE.

ZA WIARĘ — OJCZYZNĘ — HONOR I RODZINĘ.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Leszczyńska 7 m. 2.



## Niebezpieczeństwo niemieckie.

Nie wszyscy dobrze zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego Polsce ze strony Niemiec i nie wszyscy wiedzą co może i do czego zdolna jest zachłanność niemiecka. Chcemy to zilustrować w kilku cyfrach. Niemcy nie pogodziły się z warunkami, jakie nałożył na nie traktat Wersalski, lecz zawsze i wszędzie występują z groźbą, że prędzej czy później muszą odebrać Polsce „Korytarz" oraz Polski Śląsk, a nie poprzestają tylko na groźbach, lecz stale starają się prowadzić antypolską propagandę w kraju i zagranicą, wmawiając we wszystkich rzekomą polską zaborczość i ucisk niemczyzny przez Polaków; — wstawiają do swego budżetu kolosalne sumy na propagandę antypolską. W budżecie Rzeszy Niemieckiej znajduje się suma 4.800.000 mk na „pielęgnowanie" kulturalnych, humanitarnych i naukowych stosunków zagranicą; na niemieckie szkolnictwo w Polsce 3.650.000 mk.; na „gospodarczą" pomoc dla Prus Wschodnich 16,7 miljona mk., na akcję budowlaną i kolonizacyjną w prowincjach graniczących z Polską 8,5 miljona mk. pozatem dość pokaźne sumy „in blanco" do dyspozycji ministrów: spraw zagranicznych i wewnętrznych. Jakżeż blado wyglądają przy tem cyfry w budżecie polskim, stanowiące zaledwie 10% tamtych... Nad zwalczaniem polskości pracuje nietylko rząd niemiecki lecz istnieje cały szereg

związków i organizacyj niemieckich, które przeznaczają mniejsze lub większe kwoty na „obronę zagrożonej niemczyzny".

Że sprawozdania brandenburskiego „Związku obrony niemczyzny zagranicą" wynika, że związek ten przeznaczył 208.055 mk. na rzekomo kulturalne cele Niemców w Polsce.

Pod adresami Niemców przychodzi do Polski kilkanaście tysięcy książek niemieckich rocznie. My zaś posyłamy zaledwie kilkaset „gwiazdkowych" książek dzieciom polskim w Niemczech, notabene książek nie wybieranych specjalnie do szerzenia kultury i miłości ojczyzny, lecz takich jakie zostaną nadesłane na „ofiary".

We wszystkich większych miastach niemieckich urządzane są referaty i zbierane pieniądze na „uciśnioną" mniejszość niemiecką w Polsce. Składki te dały około 500.000 mk. złotych. Polaków w Niemczech jest, według statystyki niemieckiej, 1.200.000, jednak cyfra ta okaże się znacznie większa, skoro zwrócimy uwagę na to, że Niemcy stworzyli osobną narodowość Mazurską (!), nie uważając Mazurów za Polaków, dlatego w statystykach podają, że ludności władającej jednocześnie językiem niemieckim i polskim jest 507.721, a władających językiem mazurskim (?) i niemieckim 311.772. Widzimy więc, że Niemcy republikańskie i rzekomo socjalistyczne tak samo oszukują świat, jak Niemcy wilhelmowskie, wywołując nacisk przy spisach ludności i wynajdując nowe narodowości (jak np. mazurskie). W Polsce mieszka 105.861 dzieci niemieckich w wieku szkolnym, w Niemczech zaś 115.978 dzieci polskich, przytem w Polsce kształci się w języku ojczystym 76.990 dzieci niemieckich, czyli 72,74 proc., w Niemczech zaś ilość dzieci polskich, uczęszczających do szkół powszechnych z językiem wykładowym polskim wynosi tylko 506 t. j. 0,44 procent. Jest to fakt najsilniej bijący w oczy, który uwypukla różnice sytuacji mniejszości polskiej w Niemczech i mniejszości niemieckiej w Polsce. Wobec terroru i szykan stosowanych w Niemczech uniemożliwia się ludności polskiej wybór swoich przedstawicieli, wskutek czego przeszło miljon Polaków niema tam ani jednego posła, a niecały miljon Niemców w Polsce liczy 25 posłów i senatorów. Nie dosyć na tem, Niemcy uprawiają nieustannie antypolską propagandę nietylko u siebie, ale i zagranicą; najlepszym tego dowodem są odczyty niemieckich profesorów po różnych miastach europejskich i amerykańskich urządzane za pieniądze rządu niemieckiego. Tak np. z ramienia organizacji „Jung Deutscher — Orden" wygłasza odczyty we Francji August Abel, który mówi, że Francja powinna wpłynąć na Polskę, aby ta oddała Niemcom korytarz (!). Wzamian za to Niemcy chcą gwarantować Polsce wolny dostęp do morza Bałtyckiego, dozwalając jej (co za łaska!) na żeglugę na Wiśle. Po całych Niemczech kursują broszury, w których wypisuje się te słowa: „Pamiętaj narodzie niemiecki, dusząc się w swych niewielkich obszarach o możliwościach wyżywienia swych synów i wnuków. Wschód niemiecki krwawi z tysiąca ran" i t. d.

Do czego dojść może zachłanność niemiecka, niech świadczy fakt, że na łamach „Der Erzähler”, dodatku do pisma „Konitzer Tageblatt” wychodzącego w Chojnicach na Pomorzu, w artykuliku o największych rzekach, jakiś geograf pisze: „Największe rzeki w Niemczech są: Ren, Elba...... *Wisła* (!)” Albo pytania, które pruski minister finansów Höpker-Aschoff, z okazji poświęcenia gmachu rządowego w Pile, wystosował pod adresem Polski: „Czy Niemcy, którzy pozostali w odstąpionych Polsce obszarach, korzystają z takiej samej ochrony prawnej, bezpieczeństwa i wolności, jak niegdyś Polacy pod panowaniem niemieckiem?” Widocznie ironja przebija w tych słowach, bo przecież pamiętamy o rugach bismarkowskich, kiedy to wywłaszczano ludność polską na rzecz niemieckich kolonistów przybłędów. A gdzież się podziała znana całemu światu martyrologja dzieci polskich, katowanych w szkole za swój język? Jeszcze nie zatarły się wspomnienia z prześladowania dzieci polskich we Wrześni. Jeszcze żyje świadek pruskiej „wolności i ochrony prawnej” Drzymała, którego wóz stał się symbolem naszego oporu przeciw hakacie. Budowa portu w Gdyni, stale posuwająca się naprzód, nie daje spać Niemcom, budząc ich w wizjach nocnych, strasząc widmem bankructwa. Nic więc dziwnego, że Gdynię nazywają „palem wbitym w skórę niemiecką”. Port gdyński zagraża swoim rozwojem rozwojowi Gdańska, Szczecina i Królewca. „Boersen Ztg”. pisze, że są to „pierwsze znaki szponów Orła Białego, który pragnie panować nad Bałtykiem”. Pięść Stresemanna w Genewie, bomby rzucane na Bank Ludowy w Oleśnie na Śląsku Opolskim, w grudniu zeszłego roku; nieustanne artykuły podjudzające przeciw Polsce, broszury i ulotki kursujące wśród Niemców, niemieckie organizacje bojowe, gotowe w każdej chwili do napadu na Polskę, — świadczą, że musimy się mieć na baczności, od strony tych, którzy dużo Polsce mają do zawdzięczenia, gdyż swój byt i swoją potęgę.

Jest to nasz największy wróg zewnętrzny.

*Marjan Bogacz.*

---

# Niewłaściwe porównanie.

Dostojny Nestor piśmiennictwa naszego Aleksander Świętochowski, w ostatniem „Liberum veto”, w „Myśli Narodowej”, tak poucza ludzi, w poczynaniach swoich i powiedzeniach zatracających wszelką linję.

— „Marszałek senatu, chcąc ozdobić wspomnieniem historycznem swój wybuch czołobitności, na posiedzeniu komisji wojskowej wykrzyknął:

„Pradziadowie nasi powstawali, gdy na salę wszedł Kościuszko”.

Zajmowałem się ściśle tym najgodniejszym czci i najukochańszym bohaterem dziejów Polski i nic nie wiem, ażeby „pradziadowie nasi powstawali, gdy on wszedł na salę”. Nie wiadomo również nikomu, ażeby Kościuszko ukazał się kiedykolwiek w sali sejmowej. Dopóki p. marszałek nie pouczy mnie — i nie mnie — przekonywującym dowodem, pozostanę w przy-

puszczeniu, że ową scenę „powstawania” sfantazjował na użytek swego kultu i że ani działań Kościuszki nie zna, ani jego charakteru nie rozumie.

W obecnym stanie naszego życia można wywoływać z grobu wszystkie duchy samolubne, wichrzycielskie, wojujące gwałtem i bezprawiem, ale nigdy ducha Kościuszki. Gdyby on zmartwychwstał i zobaczył naszą „rzeczywistą rzeczywistość”, nieco podobną do tej, którą widział za życia, rozpłakałby się, zabrałby swoje serce z urny warszawskiej i uciekł z niem do grobowca krakowskiego. Bo czyż rozpromieniłoby się radością jego zacne oblicze, gdyby ujrzał pijanych wszechwładzą „sanatorów”, lub rozszalałych w samowoli terrorystów, łamiących prawa z dzikim śmiechem, urągających moralności i plujących bluźnierstwami na cały kanon patrjotyzmu? Czy ucieszyłby się widokiem pogromców, okrwawionych w walkach bratobójczych, on, na którego rękach nie zakrzepła ani jedna kropla krwi polskiej? Coby o nas powiedział on, który nigdy nie wybuchał nienawiścią, złością i zemstą, ale wylewał ze swego serca niewyczerpane potoki miłości, ukochania narodu, do którego jedynie adresował sprawozdania ze swych czynów i zamiarów?

Kiedy Prusacy zostali odparci od Warszawy, Najwyższa Rada Narodowa powinszowała Kościuszce „tak znakomitego dzieła, iż starannością i walecznością swoją ukrócił dumę i siłę tego nieprzyjaciela, który, z taką nastawając groźbą, z hańbą chciwych zamiarów swoich odstąpić musiał”. Chcąc zaś ten wypadek uczcić jakąś uroczystością, Rada zapytuje Kościuszkę jakiego sobie życzy obchodu i prosi, ażeby w nim wziął udział. Oto odpowiedź prawdziwie wielkiego człowieka: „Z najżywszą wdzięcznością i uznaniem odbieram pochlebne dla mnie wyrazy Najwyższej Rady Narodowej. Cieszę się zarówno z każdym dobrym obywatelem z oswobodzenia stolicy od wojsk nieprzyjacielskich, nie przypisuję tego (sobie) — *(Przyp. Red.)* — **tylko Opatrzności, męstwu żołnierza polskiego, obywatelów warszawskich gorliwości i odwadze, staraniom rządu.** Zostawuję zupełnie do woli Najwyższej Rady Narodowej, w jaki sposób i kiedy zdarzenie to obchodzić życzy. Zatrudnienia moje nie dozwalają mi ukontentowania być z wami, godni mężowie; śmiem ufać, że ten Bóg, który stolicę uwolnił, uwolni i Ojczyznę; wtenczas już jak obywatel, nie jak urzędnik i Bogu dzięki składać i powszechną ze wszystkimi radość dzielić będę”.

Więc nie on, tylko Bóg, żołnierze i obywatele odparli wroga, dlatego on żadnego hołdu, żadnego obchodu na swoją cześć nie przyjmuje. Słusznie też mówi Korzon: „Między wojownikami skromniejszego nie zna podobno historja powszechna, bo który z nich oparł się pokusie peanów, kadzideł, łuków triumfalnych i widoku rozradowanych tłumów? On zaś w razie pomyślnego zakończenia wojny nie chciał zasiąść z gałązką oliwną na rydwanie triumfatora, lecz bez oznak wodza, w szatach prywatnego człowieka, może w chłopskiej sukmanie krakusa, zmieszałby się z ludem przy modłach dziękczynnych”.

Gdy p. marszałek Szymański to wszystko sobie przypomni, lub po raz pierwszy o tem się dowie, to może nie będzie miał ochoty i odwagi do porównywania Kościuszki z kimkolwiek i zaimprowizowania faktu, że „nasi pradziadowie powstawali przy jego wejściu do sali", do której on nigdy nie wszedł i nikt przed nim nie powstawał. Zapewne dzisiejszym potomkom tych urojonych pradziadów najbardziej podobałby się cesarz rzymski Kaligula, który dla utrzymania się w samowładztwie schlebiał wojsku, ogłosił siebie bogiem a swego konia mianował konsulem, ale poco w ramy tego gustu oprawiać wielką, skromną, czystą, czcigodną postać Kościuszki? Trzeba go zostawić w spokoju i uwielbieniu całej Polski bez porównywania, skoro ono nikogo przy nim nie powiększy a każdego zmniejszy". —

---

# Parę uwag o teatrze w Polsce.

W okresie przekształcań się i zmagań kulturalnych i cywilizacyjnych, którym, śmiele rzec mogę, przyglądamy się dziś aż nazbyt biernie i prawie bezopornie, przeżywa i teatr, ta wielka instytucja nietylko rozrywkowa, lecz przedewszystkiem wychowawcza, przeżywa, powtarzam, coś, co w potocznej nomenklaturze obciążono klątwą: kryzys! Dawniej, jak wiemy, przyświecały teatrowi cele piękniejsze i górniejsze. Nie chodziło bowiem, ani przedsiębiorcy, ani aktorowi, ani nawet komedjo — czy dramatopisarzowi o materjalne korzyści, które ze zjawiska teatru można wyciągnąć; nie było człowieka, któryby się wówczas poważył (chyba na marginesie pragnień czysto artystycznych lub narodowych, czy społecznych) spojrzeć ze stanowiska innego, niż idealny, zysku. O jakości i rezonansie sztuki rozstrzygały potrzeby chwili historycznej, które każdy potrafił sobie uprzytomnić i na których ołtarzu artyści, odtwórcy i twórcy, od najmniejszych do największych, składali ważką ofiarę trudu i talentu. Był więc teatr naprawdę świątynią sztuki narodowej, niósł słowa pociechy, krzepił serca i ducha, znużonego codziennem borykaniem się, a na „od święta" stroił się w nieprzemijające blaski dzieł natchnionych i potężnych. Słowem, wypełniał właściwe swoje posłannictwo.

Dziś oblicze teatru uległo zasadniczej zmianie. Boć, powiedzmy otwarcie, teatr, jako wytwór myśli ludzkiej, jako z życiem i społeczeństwem związany i od nich uzależniony czynnik rozwoju albo upadku, nie zdołał utrzymać swego typu i poziomu i poniósł te same wewnętrzne klęski, podzielił te same niedole, które się stały udziałem t. zw. powojennego świata. Mówiąc poprostu: jesteśmy świadkami (i uczestnikami, daj Boże, niedozgonnymi) dewolucji, odwrotu teatru z pozycyj w dziedzinie ideału na, zgóry upatrzone, stanowiska taniego rozgłosu i zysku.

Pro pecunia! Dla pieniądza! Pod tym kątem ujmować należy dzisiejszą twórczość dla teatru i w teatrze, acz nie od rzeczy byłoby mimo-

chodem stwierdzić, że trafiają się, choć nielicznie, wyjątki i w takiej aktualno-pogromowej regule. Ale nie w tem rzecz. Źródła dzisiejszej widowiskowej nędzy kryją się w marnych upodobaniach publiczności, w zagubieniu się, w niepewności wewnętrznego rysunku nowoczesnego polskiego widza, który (widz) nie jest jeszcze zupełnie zdemoralizowany, ale, by wyrazić się delikatnie, cierpi, nagminnie cierpi na brak smaku przy równolegle rozwijającym się i stale wzrastającym głodzie, takich czy owakich, sensacyj. Tutaj, dla poparcia moich wywodów, przytoczę konkretny przykład: w dwuch teatrach warszawskich (Polski i Nowy) „idą" dwie diametralnie, pod względem waloru, różne sztuki (doskonały „Adwokat i róże" i płascy, bujdowaci, kabaretowi „Panowie B. B."). Obie są tłumnie oglądane — przez jedną i tę samą publiczność. Wniosek stąd prosty.

Czytelnik zgodzi się, sądzę, ze mną, że, na skutek „zwaloryzowania" gustów (to gramy, co popłaca), teatr naogół zniżył się do poziomu ulicy, do poziomu. „Café chantant", lub, jeśli się nie zniżył, wytrwale i konsekwentnie dąży w tym kierunku, nie spotykając się ze sprzeciwami ani krytyki, ani widowni, owszem popychany i zniżany przez tych, którzy organizują nań zbiorową napaść, których zawsze pełno tam, gdzie brzęczy i toczy się moneta: przez żydów.

Ale drogi do walki o wysoki moralnie i artystycznie typ teatru i sztuki dramatycznej oraz dramatopisarskiej stoją otworem. Nie wszystko stracone, ba! wszystko jest do odzyskania. Teatr może się stać znowu kuźnią psychicznej mocy i źródłem zdrowia i radości Narodu. W jaki sposób? O tem pomówimy w przyszłym numerze.

*Alfred Kalinka.*

---

# O honor cywilnych.

„Robotnik" w № 69 zamieścił bardzo znamienny artykuł.

Powtarzamy go w całości.

— „Jako oficer i żołnierz z wojny światowej i z lat 1919 i 1920, pozwalam sobie nadesłać tych kilka uwag.

Wydaje mi się, że Marszałek Józef Piłsudski mówiąc w Senacie ostatnio o honorze oficera polskiego wysłowił się może nieco inaczej, jak myślał.

Nie zdaje mi się bowiem, i zapewne tysiącom takich, jak ja, wyda się niemożliwe, by honor oficera czynnej służby mógł być inny od honoru każdego honorowego człowieka i by mógł być, jako taka odmienna rzecz, uważany właśnie przez Marszałka Józefa Piłsudskiego.

Miljony z nas, którzy nie nosimy już munduru, ale nosiliśmy go i znowu nosić będziemy w potrzebie, składało ofiary z życia, zdrowia i mienia nie większe, ale i nie mniejsze od oficerów służby czynnej. W ofiarach tych brali udział nietylko oficerowie, ale cała masa bezimiennego żołnierstwa. m niższy był stopień, tem większy był zwykle trud i męka fizyczna; im

wyższy stopień i odpowiedzialność tem większy był trud umysłowy, a czasem męka myśli. Wysiłek moralny szeregowca i oficera był dawniej, i jest przy nowej taktyce walki piechoty tembardziej równy, jeżeli uwzględnimy, że niezawodowy żołnierz nie żył myślą o walce, a walczyć musiał na równi z zawodowym, że żołnierzowi Ojczyzna częściej, jak oficerowi, nie bywa domem spokoju, a **domem znoju strasznego i zawiedzionych nadziei, że poziom wykształcenia żołnierza o ile często jest niższym od poziomu oficera o tyle trudniej mu zrozumieć „poco ta ofiara".**

Już w wojnie światowej tylko w pierwszych tygodniach ofiary spoczywały w większym stopniu na barkach oficerów czynnej służby, jak na barkach innych. Skoro tylko rezerwy i pospolite ruszenie zostały zmobilizowane — one szły na front, oficerowie rezerwy zastępowali w linji swych kolegów czynnej służby, a ci musieli być wycofywani dla kształcenia kadr wojskowych na tyłach, i **ofiary się conajmniej wyrównywały.** Jedynie szeregowiec czynnej służby od początku do końca musiał wytrwać, o ile nie dostawał awansu, i jako podoficer nie szedł szkolić kadry. Nieco poza linją ognia zostawali oficerowie czynnej służby w sztabach, które, wiadomo przecież, nie płaciły takich haraczy życiem i kalectwem.

Nie zamierzam w niczem umniejszać ofiar, ponoszonych w nowoczesnych wojnach przez oficerów czynnej służby. Pragnę jedynie zaznaczyć, że **takie same ofiary ponosiliśmy wszyscy i znowu w potrzebie ponosić będziemy, którzy jesteśmy dziś „tylko" cywilami,** którzyśmy po spełnieniu obowiązku cicho zupełnie odeszli i nie dostawali awansu za służbę wojenną, jak wojskowi służby czynnej, natomiast nie rzadko byliśmy „degradowani", gdy miejsca nasze w międzyczasie zostały przez innych zajęte. **I nikt z nas prawie z tego powodu nie wystawiał rachunku.**

Oficerowie radzili sobie jeszcze jako tako i potrafili się od biedy zorganizować, szara masa żołnierska odeszła zupełnie milcząco, nikt się nią nie interesował, o nic się nie upominała po spełnieniu obowiązku, i spełni go znowu i znowu taksamo cicho odejdzie. **Czy dlatego honor jej mniejszy jest od honoru oficera czynnej służby?**

A teraz w czasie pokoju. Czy służba oficera czynnej służby jest większą zasługą, daje większy honor, jak praca górnika, hutnika, rolnika, nawet kupca, którzy pracą swą nietylko żywią oficera, ale decydują o rozwoju lub upadku kraju w większym stopniu od armat i karabinów, trzymanych w pogotowiu? Byt oficera nie jest zazwyczaj uścielony różami, ma on swoje kolce, ale ta bezimienna masa, która przychodzi, gdy ją wołają, składa ofiary, i cicho wraca, **ta bezimienna masa, niema z reguły żadnego zabezpieczenia swego bytu, poza tem, co zdoła wywalczyć.** Walki tej z czasu pokoju oficer czynnej służby nie zna, wóz życia go wprawdzie nie pieści zbytnio, ale też nie wciąga pod swoje koła. Czy praca czasu pokoju to tytuł do wyższego honoru oficera czynnej służby od honoru innych uczciwych ludzi?

Od kiedy wreszcie podnosi honor natychmiastowa czynna reakcja,

skoro strona reagująca jest zawsze uzbrojoną, a przeciwna **prawie nigdy**, skoro strona jedna za pozbawienie życia lub okaleczenie jest sądzona inaczej, bodaj że chwalona, a druga ciężko karana?

**Byliśmy równi w obowiązkach, w ofiarach, we wszystkich cierpieniach.**

To chyba nieporozumienie, p. Marszałek **Piłsudski** nie myśli napewno, że jesteśmy nierówni w honorze, że honor oficera czynnej służby, lub oficera wogóle to rzecz naprawdę tak bardzo specjalna i różna od honoru zwykłego."

---

# Etyka „świecka".

Atak na małżeństwo katolickie wzmaga się z dnia na dzień. Pan Widz nazwiskiem Wasowski (z domu Wasserzug) w Epoce tłumaczy konieczność wprowadzenia ślubów cywilnych tem, że istnieje moralność i etyka bezreligijna, etyka świecka. O tej świeckiej etyce dałoby się dużo powiedzieć. Ci, którzy wierzą w świecką etykę, zapominają, że zostali wychowani w etyce jakiejś religji (choćby żydowskiej jak Wasserzug). Chociaż odrzucili oni dogmaty, etyka, w której ich wychowano, została i dlatego np. p. Widz ma etykę żydowską.

Prawdziwą „świecką" etykę podziwiać możemy dopiero u ludzi wychowanych w rodzinach „świeckich". Jak ci ludzie postępują wiemy wszyscy i znamy aż nadto wiele przykrych przykładów ich dekadencji moralnej.

Drugi ślubo-burca, pan Boy, opowiada ciekawą historyjkę. Oto pewien ojciec „dobry katolik" ochrzcił syna u protestantów tylko w tym celu, by ten nie cierpiał tyranji małżeństwa katolickiego. O takich „dobrych katolikach" nieraz się słyszy. Niedawno doniosły dzienniki o takim „dobrym katoliku", wiceprezydencie Łodzi, który, widocznie kierując się „świecką etyką", syna swego posyłał do żydowskiej szkoły. —

Klasyczny przykład tej etyki dał nam jeden ze Stanów amerykańskich uchwalając prawo, że każdy, kto mieszka w tym Stanie, od czterech dni, może otrzymać rozwód bez żadnych kłopotów. Wzór do naśladowania! Bardziej „świecka" jest tylko Bolszewja.

*W. S. W.*

---

# Błąd się mści.

W czasie ostatnich wyborów bardzo wielu dobrych katolików, bardzo wielu ludzi czujących i myślących narodowo, dało się złapać na demagogiczne frazesy i poszło za tymi ukrytymi wrogami Kościoła, o których już pisaliśmy w „Szczerbcu". Że nasze przestrogi były słuszne, okazuje się nie tylko z całej walki prasowej z Kościołem katolickim, ale ostatnio z projektu konstytucji t. zw. lewicy sejmowej. Projekt ten nietylko chce zerwać

wiekową tradycję współżycia Polski z Kościołem, współżycia w którem za wierność synowską Kościół odpłacał nam trzykrotnie bardzo wydatnem poparciem: w obronie naszej niezależności za Mieszka I, w obronie jedności Polski za książąt dzielnicowych i w obronie ludu polskiego po rozbiorach. Godzi także ów projekt wprost w podstawy naszego całego życia.

Krótko mówiąc, chce on 1-sze:

Przygotować rozbiór Polski przez oddanie kresów „mniejszościom". Mówi wyraźnie o „autonomji dla tych ziem Rzeczypospolitej, które są zamieszkałe przez ludność mieszaną pod względem narodowym". Może zatem Warszawą podzielimy się z Żydami, bo przecież oni stanowią blisko trzecią część ludności stolicy?!

2-gie. Znieść własność prywatną, przez to, że „Rzeczpospolita Polska przystosowuje formę własności do potrzeb państwa", — a dalej: „Wszystkie środki wytwarzania, komunikacji i wymiany podlegają kontroli Rzpltej". Stąd wynika, że państwo może np. zabrać każdemu jego warsztat, jeśli on nie będzie odpowiadał „potrzebom państwa".

3-ie. Sprowadzić Kościół i wszelkie stowarzyszenia religijne do roli klubów towarzyskich, czy literackich. Do tego przedewszystkiem ma służyć zerwanie konkordatu, dalej zniesienie wszelkich opłat na rzecz Kościoła, wreszcie szkoła „niezależna i wolna od jakiejkolwiek kontroli związków religijnych". Celem jest, by spełniły się słowa projektu, że „wszelkie związki religijne podlegają powszechnym ustawom".

Ktoś może powie, że przecież teraz nie lewica rządzi, że jej projekt nie będzie miał nigdy większości. Tak mówiącym należy przypomnieć, że lewica wraz z mniejszościami w Sejmie może mieć przy poparciu radykałów, (a tych nie braknie) zawsze większość dostateczną do zmiany konstytucji. Że teraz taka większość nie powstaje, że jej teraz lewica nie chce, to nie dowód, by nie miała powstać nawet jeszcze w tym Sejmie. Jedyna obrona nasza w potężnym, zbiorowym, odporze całego zdrowego społeczeństwa.

*W.*

---

# Wady wychowania fizycznego.

Nigdy jeszcze nie pisało się tyle u nas i nie mówiło o wychowaniu fizycznem jak teraz i — powiedzmy otwarcie — nigdy nie popełniało się w tej dziedzinie tyle niedorzeczności...

W odleglejszych czasach wychowanie fizyczne, o którem wówczas się nie rozgadywano — połączone razem z moralnem — polegało na hartowaniu młodzieży męskiej od najwcześniejszych lat w surowości życia, a wypływało z przeświadczenia rodziców, iż mają wychować chłopca na rycerza. Chłopiec sypiał na twardem posłaniu, jadał proste potrawy, spełniał szybko i dokładnie wszystko co „pan ociec" rozkazał, a sprężystość mięśni wyra-

biał sobie ucząc się strzelania i fechtunku. Naturalną gimnastyką jego było dosiadanie konia i tysiące figlów żywiołowych, świadczących o bujności życia w młodziutkim rycerzyku. — Później system wychowania uległ zasadniczym zmianom na gorsze, a jeszcze później wogóle przestano myśleć o potrzebie wychowywania dziecka. W okresie niewoli te rodziny, w których jeszcze rozumiano, że dziecko *trzeba wychowywać*, główną uwagę zwróciły na ochronę w niem polskości,—szczególnie wyraźnie zaznaczało się to w zaborze rosyjskim i niemieckim. Zresztą w niewoli samo poczucie moralnego stłoczenia nie sprzyjało wyrabianiu tężyzny fizycznej, a wszelkie posunięcia w tym kierunku miały jeden cel: przysposobienie młodzieży, aby była gotowa na nieprzewidzianą chwilę zdobywania wolności. W tym celu czynione ćwiczenia (np. „Sokoła") dały się zastosować głównie w zaborze austrjackim, gdzie w ostatnich dziesiątkach lat niewoli pod tym względem nie było skrępowania. Po odzyskaniu wolności zakrzyknięto zewsząd: — „Trzeba młodzież wychować fizycznie!" — i rzuciliśmy się ku temu — na oślep, z fizycznego wychowania wytwarzając karkołomne sztuki cyrkowe, narażające młodzież na przeróżne niebezpieczeństwa. Bez przemyślenia, bez wniknięcia w ducha narodu, w warunki klimatu, w stopień rozwoju fizycznego i właściwości organizmu jednostek, chwytamy co się da i skąd się da, wszystko co inne narody, nie mające z nami nic wspólnego, stosują w wychowaniu i usiłujemy przeszczepić to na nasz grunt. Sięgnęliśmy nawet do starożytności po biegi maratońskie; zapominając zupełnie, że oddech piersi zbudowanych „na miarę Fidjasza" był zupełnie inny, aniżeli u skarlałych latami pokoleń, dziś posiadających piersi w sam raz odpowiednie do krawieckiej miary fraka... Człowiek trzeźwo myślący z politowaniem patrzy na uczestników takich biegów, gdy ostatkiem sił pędzą, naprawdę niewiadomo w jakim celu niszcząc młode płuca, — lekarze najlepiej mogą powiedzieć, że taka bieganina ani o milimetr nie posunie naprzód rozwoju przyszłych pokoleń, ale przeciwnie bardzo łatwo może spowodować u młodzieży chroniczne, a w następstwie dziedziczne, poważne cierpienia płucne.

Warto tu wspomnieć jak z litością i wielkim niesmakiem publiczność patrzyła na ostatni bieg młodzieży obojga płci, w dniu 19 marca b. r. Co np. mają wspólnego z wychowaniem fizycznem takie obrazki. Tłum młodzieży pędem biegnie ulicami Warszawy, w stronę Belwederu. Ciężko dysząc, szeroko rozwartemi ustami gwałtownie chwyta chłodne powietrze, — oczywiście wraz z kurzem, przesyconym miljardami chorobotwórczych mikrobów, — a kurz z pod nóg biegnących unosi się szarą chmurą,— z rozpalonych twarzy pot ścieka strumieniami. Jakiś młodzieniec słania się, bełkocąc, przerywanym od zdyszenia głosem: — „Nie mogę... już nie mogę". — W odpowiedzi na to, silniejsi towarzysze ujmują go pod ramiona i... *wloką* dalej. Inny, także już *ciągniony* przez towarzyszów, wsparł bezwładną głowę na ramieniu jednego z nich... — A teraz pomyślmy, że ta młodzież

dopadłszy do mety, przegrzana, mokra od potu, w lekkich bluzach, jakiś czas stała na dziedzińcu Belwederu, lub w Alejach, poza Belwederem...

Tak wyglądają „biegi"... A są i inne jeszcze, równie „mądre" sposoby wychowywania fizycznego.

Tak jakoś zatępieliśmy dziwnie, że nikt nie chce, czy nie śmie stanąć odważnie w obronie dziatwy, na nowy sposób katowanej fizycznie i zabijanej moralnie.

Większość naszych sportów cechuje bezwstyd. Szyderczo pruderją nazywa się dziś to, co jest nie tylko obowiązkiem skromności chrześcijańskiej, ale wynikiem zdrowego instynktu samozachowawczego. Pozbawiając wstydu dzieci i młodzież, nibyto w celu „oswojenia" jej z drażliwemi przejawami życia i przez to zmniejszenia popędów instynktu, — spycha się młode pokolenie w bagno rozpusty od najwcześniejszych lat. Samozwańczy wychowawcy dzisiejsi traktują dziecko, albo jak zwierzę ludzkie i wówczas o jego uczucia wcale się nie troszczą, albo jak fonograf, który powtórzy tylko to, co się na nim nagra i pewni są, że skoro dziecku zaczną deklamować, iż człowiek ciała swego wstydzić się nie potrzebuje, ale powinien zawsze szanować to ciało, to już dziecko rzeczywiście na wszelką nagość spojrzy z szacunkiem i „wyższą myślą". Niestety, życie wykazuje nam zupełnie co innego. Wiedzą coś o tem spowiednicy, lekarze i ci nieliczni ludzie, którzy żyjąc prawdą, nie sprzeczni w swych słowach i czynach, zyskują instynktowne zaufanie dzieci i młodzieży. Rodzice, w większości wypadków, o swoich dzieciach *nic* nie wiedzą.

Prawdą jest, że wszelka nagość, uprawniona zarówno w życiu sportowem, jak i we wspólnych kąpieliskach dla dzieci, na plażach i t. d. nie tylko nie przyczynia się do zdrowia młodzieży, ale rozbudzając w niej przedwcześnie instynkt płciowy, a potem podniecając go nieustannie, młodzież tę pozbawia sił żywotnych, nie mówiąc już o niszczeniu poczuć etycznych.

Sam się oszukuje, lub nie umie patrzeć w życie ten, kto mniema, iż tylko deklamacją o szacunku dla samego siebie można potłumić najsilniejszy instynkt ludzki. Dwa czynniki tylko mogą skłonić człowieka do opanowania zmysłowości: religja i rozumna wstydliwość, która nakazuje unikać rzeczy budzących podniety zmysłowe. Tylko z religji czerpie jednostka prawdziwy szacunek dla swego człowieczeństwa, a więc zarówno duszy jak i ciała; — wszelkie inne zapory stawiane instynktom możnaby przyrównać do piasku rzucanego w otchłanie morskie, w celu ich zasypania.

Gdyby niejedni z uczciwszych zwolenników nowego kierunku w wychowaniu — a właściwie powrotu do pogańskiego kultu ciała, — mogli czytać w duszach młodzieży, napewno z przerażeniem zawróciliby z błędnej drogi.

Statystyka zdrowotności dzieci podaje nam wykaz straszliwy.

Według danych z roku szkolnego 1926 — 27, zestawionych przez wizytatora higjeny szkolnej, min. oświaty dr. St. Kopczyńskiego, na **57.759** zbadanych dzieci szkół powszechnych w Warszawie okazało się aż **29.986** cho-

rych, bądź zagrożonych gruźlicą, 21.801 dzieci miało powiększone gruczoły chłonne, 3801 zwiększone gruczoły przyoskrzelowe 1033 chorowało na gruźlicę otwartą płuc, 600 na gruźlicę kości, 2751 wykazywało inne objawy początków gruźlicy. W Łodzi na 46,499 zbadanych dzieci wykryto gruźlicę zdecydowaną, lub jej początki u 20.052 dzieci. A oprócz gruźlicy, u starszych dzieci są i inne choroby... Okłamujemy się, że to tylko skutki trudnych warunków życia w okresie wojny i po wojnie, ale kłamstwo tu nic nie pomoże, czas już najwyższy spojrzeć prawdzie w oczy i powiedzieć sobie że organizmy młodzieży i dzieci niszczy przedwcześnie rozbudzona zmysłowość i ona jest główną przyczyną trawiących młode pokolenie chorób. Jeśli tej przyczyny nie usuniemy, żadne plaże, kąpieliska, ani sporty nie uratują nam usychających kwiatów narodu.

Jak na ironję jedno z pism brukowych niedawno nad ilustracją, przedstawiającą ćwiczenia gimnastyczne starszych dziewcząt w szkole powszechnej — pod kierunkiem *nauczyciela*, — zamieściło napis: „Zdrowy duch, w zdrowem ciele". Zarówno ubranie jak i pozy nie nadawały się do pokazów publicznych w gazecie i bynajmniej ze zdrowiem duszy i ciała dziewcząt te karkołomne skoki nie miały nic wspólnego. Po tego rodzaju ćwiczeniach nie można mówić o delikatności uczuć u dziewczynki. —

A teraz pytanie: co mają robić rodzice, którzy pragną córki swoje wychować na zdrowe, skromne kobiety, gdy szkoła, zamiast spokojnej, rozwijającej prawidłowo mięśnie gimnastyki, każe tym dziewczynkom ćwiczyć się jak akrobatkom i zarazem odziera je ze wstydu? Gdzie wobec tego jest wolność obywateli i wolność sumienia?... —

Prawdziwi wychowawcy powinni, mocnym protestem, położyć kres takim metodom wychowania w szkole. Że zwolennicy girls'ów wszystkim dziewczętom w Polsce chcieliby nadać ułożenie w tym stylu to nie racja byśmy dzieci nasze pozwolili marnować. Grono prawdziwych pedagogów-wychowawców, kochających młode pokolenie powinno ująć w ręce ster wychowania fizycznego i uczynić zeń to czem być powinno, to jest dopełnienie kształcenia charakteru; bo wychowując człowieka bacznie trzeba przestrzegać równowagi czynników duchowych i fizycznych; bez tej równowagi niema mowy o dobrem wychowaniu. Wszelkie ćwiczenia fizyczne, sporty i t.p muszą być w harmonji z duchem, tradycją i cechami charakteru narodu a nadto zastosowane do sił organizmu naszej młodzieży i do warunków klimatu. Bo np. modne dziś „hartowanie" chłopców, polegające na odsłanianiu kolan, w zmiennym naszym klimacie zamiast zahartowania da dziecku częstokroć chorobę kości. A cóż mówić o higjenie? W lecie miałam sposobność obserwować ciekawe okazy naszych domorosłych zwolenników „higjeny". Np. razu jednego wsiedli do tramwaju rodzice z dwojgiem dzieci, chłopcem około lat 13-tu i dziewczynką czteroletnią. Parka ta ubrana była modnie i... higjenicznie. Dziewczynkę mamusia usadowiła na miejscu tylko co opróżnionem przez brudnego żyda,—aż dziewczynka głośno stwierdziła, iż

gołemi nóżkami wyczuwa ciepło nagrzanej ławki, a chłopiec zajął miejsce po innym chłopcu, który także ubrany był „higjenicznie", ale twarz, ręce i nogi pokryte miał wyrzutami, znamionującemi poważną chorobę skóry. Oto wzór logiki zwolenników modnie pojętej higjeny polegającej na obnażaniu ciała.

Takim wszystkim absurdom winno kres położyć rozumnie pojęte wychowanie. Zbawiennej reformy, a narazie podjęcia usiłowań w tym kierunku, domagamy się od prawdziwych wychowawców, rozumiejących jakim skarbem narodu jest młodzież i jakim bezcennym klejnotem ludzkości jest czystość duszy dziecka. *M. Friedrich-Brz.*

---

# Znamię czasu...

W № 11 „Myśli Narodowej" Adolf Nowaczyński rzuca taką bolesną a hańbiącą nas prawdę.

—„Najspokojniej, bez jednego słowa komentarza, donoszą gazety, że na licytacji berlińskiej antykwarjat Breslauera zakupił za sumę 9.050 marek czyli 19.276 złotych rękopis Fryderyka Chopina:

Polonez As-dur!

Czem był i czem jest Polonez As-dur w życiu duchowem Polaków z ery niewoli, pisać o tem niema potrzeby. Dawał najwyższe ekstazy trzem generacjom. Krzepił serca i dumą napawał. Rozrastały się przy jego dźwiękach dusze rycerskie. Dawał natchnienie naszym największym. Dochodził tam, gdzie nie dochodziło żadne słowo polskie i słowo o Polsce. Był ambrozją i nektarem niewolników. Płakali przy nim starzy i młodzi. Panujący trzech państw zaborczych bili po nim oklaski. Wywoływał wizje potęgi państwa polskiego. Świadczył wszystkim, że „nie zginęła". Korzyły się przed nim najwyższe duchy ludzkości. Dodawał nadziei i otuchy.

Rękopis Chopina znaczy tyle, ile rękopis Kopernika, Mickiewicza, Kościuszki. Powinien być świętością, relikwją, złożoną może na Wawelu w szczerozłotej szkatule.

Tymczasem nabył go na licytacji w Berlinie kupiec Breslauer. W r. 1928/9.

Oto *signum temporis...* Tu już naprawdę nie ręce łamać, ale kości. Państwo! Mocarstwo! Ambasady! Armja! Parady! Zjazdy! I nie znalazł się jeden magnat polski, jeden obszarnik, bankier, „nuworysz", któryby się poczuwał do obowiązku. Ani jedna instytucja! Ani jedno muzeum. Z departamentu Sztuki nikt nie pomyślał o tem, żeby z funduszu pięciomiljonowego wyasygnować 19.276, na rękopis As-dur Chopina! Z 26 miljonów funduszów dyspozycyjnych, godzinowych funduszów, nie znalazło się 20.000 złotych na zakup tej relikwji. Nikt czytając zapowiedź tej licytacji nie drgnął nawet! Żaden Polak żywy nie ruszył się z miejsca. Dziennie wyrzucają i wyrzucali setki tysięcy na zakupywanie ludzkich sumień. Zagraniczni dziennikarze dostawali napchane portfele za jeden artykuł reklamujący „przewrót"... Kolosalne sumy pochłonęli narciarze zafundowani dla „rozsławienia" Zako-

panego. Kolosalne sumy kosztują zjazdy chłopów na zamek, imieniny, rocznice! Kolosalne sumy przepijają ladacznicy „sanacyjni” w „Oazach” i „Savoyach”. Luksusowe samochody sprawiają wojewodom, wygłaszającym mówki godne woziwodów. Kolosalne sumy kosztowało wpakowanie Bebków do Sejmu i Senatu! Kolosalne sumy kosztuje korumpowanie prasy! Dwa miljony omal kosztowała nieudana impreza atlantycka i uratowanie „Marszałka Piłsudskiego” przez niemiecki statek „Emden”.

A na zakupno rękopisu Chopina niecałe dwadzieścia tysięcy złotych się nie znalazło, bo to *imponderabilia... praetium affectionis...* Zresztą Chopin! Co tym Azjatom do Chopina? Przecież mają swoje: „*Blaue Husaren*”. Ohyda!” —

Jednak kiedyś, gdy ludzkość dojdzie do poziomu rzeczywistej kultury, nędznie przedstawiać się będzie ten wiek XX, z którego dziś tak jesteśmy dumni...

---

# Nowe wydawnictwa „Ligi Katolickiej” w Poznaniu.

„BROŃMY RELIGJI W SZKOLE“. — X. Fr. Kwiatkowski T. J., prof. filozofji w kolegjum OO. Jezuitów w Krakowie.

W pracy tej objętości 30 stron rozprawia się autor dobitnie i rzeczowo z rezolucjami Sejmu i Senatu z 19 i 22 czerwca 1928 r. powziętemi przeciw okólnikowi p. ministra Bartla z dn. 9 grudnia 1926 r. „O nauce szkolnej religji katolickiej”.

Broszurka powyższa nadaje się szczególnie do wykładów w stowarzyszeniach. Cena zł. 1.—

„ZŁOTY WIENIEC NA SKRONIE PIUSA XI” — podręcznik do urządzania uroczystości papieskich jubileuszowych.

Na broszurkę tę, objętości 88 stron, składa się: Część I. — wykład X. T. Zakrzewskiego „*Pius XI*”. Część II. — materjał wieczornicowy (deklamacje: chórowe, solowe, recytacje prozą, żywe obrazy, śpiewy chóralne). Cena zł. 2.—

---

# Z ostatniej chwili.

W dniu 20 b. m. zmarł ś. p. Marszałek Ferdynand Foch.

Najgenjalniejszy wódz i strategik współczesny, oraz wielki a pełen prostoty i głębokiej religijności człowiek, zdobył sobie szacunek w całym świecie.

Obszerniejsze wspomnienie zamieścimy w następnym numerze „Szczerbca“.

---

# Konkurs Zrzeszenia Pisarzy Katolickich.

Sąd konkursowy Zrzeszenia Pisarzy Katolickich nie uznał godną nagrody żadnej z nadesłanych w ub. roku prac. Wobec tego konkurs przedłuża się o rok, t. j. do 30-go grudnia 1929 r., na dawnych warunkach, a mianowicie: 1) Temat dowolny, współczesny, w duchu idei Wiary katolickiej, piękna, dobra i zdrowej tradycji ducha narodu; 2) rozmiar powieści od 6 do 10 tysięcy wierszy druku; 3) każdy rękopis (przepisany na maszynie) powinien być opatrzony godłem. Adres i nazwisko autora powinno być podane w oddzielnej kopercie, zapieczętowanej i oznaczonej tem samem, co i rękopis, godłem; 4) termin składania rękopisów do 30 grudnia 1929 r., p. a.: Warszawa, ul. Czackiego 2, m. 3. 5) Nagroda 1000, — (jeden tysiąc) zł.

Członkowie sądu konkursowego: Marja Rodziewiczówna, Stanisław Miłaszewski, dr. Kazimierz Marjan Morawski, Pia Górska, Emil Zegadłowicz, prof. Andrzej Tretiak, Juljan Ejsmond, ks. Jan Pawelski T. J.

Rękopisy nadesłane w r. 1928, są do odebrania: Warszawa ul. Czackiego Nr. 2 m. 3.

W imieniu sądu konkursowego *(—) Marja Rodziewiczówna.*

---

# *Dwaj panowie z B. B.*

*Nie myślcie że potrącam teatralne deski —*
*I życie miewa równie głupie humoreski.*
*W zgodzie dwóch panów z B. B. wytworzył się zator.*
*Z panem z Bebe marszałkiem, pan z Bebe senator*
*(I wraz prezes od Bebe) rzekli „se" tak szpetnie,*
*Że chyba „amicitia" ich odtąd się przetnie.*
*Walka nie była równa. Pan z Bebe — marszałek,*
*(Że ma w ustach bez kości języka kawałek),*
*Szczebiotał — jako zwykle, — szczerze, niby „dzicię"*
*Że nie umiał pan prezes z Bebe należycie*
*Ubić targu z żydkami, w obrębie senatu...*
*I (klasyczna prostoto!) rzekł całemu światu,*
*Że żydki za swe głosy tylko miljon chciały,*
*Nie więcej!.. Gdyby Beby były im to dały,*
*Miałyby sprzymierzeńców. — I w konkluzji powie,*
*(Prawdziwe bèbè Bebów!): „Stawałem na głowie,*
*Aby tego dokonać, lecz z winy prezesa*
*Nie uzyskałem głosów!" — No i polska kiesa*
*Cięższa jest o miljonik... co miał iść w chedery...*
*Na to pan prezes z Bebe skreślił zdania cztery*
*Lecz tak, że dyskurs uciął!...*

. . . . . . . . . . .

*Ryjcie to w marmurze:*
*Trzeba stawać na nogach, a głowę mieć w górze,*
*Bo kto czyni odwrotnie, wbrew prawom przyrody,*
*Temu mózg się zbulgoce i nabierze wody...*
*Tak, że potem już łacno człek ten bezsens powie...*

. . . . . . . . . . .

*Więc... trzeba zawsze strzec się stawania na głowie...* SATYR.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

*W-mu Panu Karolowi Stef. w Poznaniu.* — Za zyskiwanie prenumeratorów bardzo dziękujemy.

*W-mu Panu Leonowi Kar. w Katowicach.* — „Szczerbiec” opóźniony jest z powodu choroby personelu redakcyjnego. Za zyskiwanie prenumeratorów — dziękujemy.

*W-mu Panu Zygmuntowi Fedor. w Warszawie.* — Wkrótce porozumiemy się z Sz. Panem listownie.

*W-mu Panu Stanisławowi L. w Kielcach.* — Skoro zapytuje Pan o nasze zdanie odpowiemy, że niewłaściwą drogę pan wybrał. W ten sposób młodzież się gubi, — nie poprawia. Już do duszy tego dziecka Pan nigdy nie trafi — a szkoda!

## NOWE KSIĄŻKI.

*Ks. Nikodem Ludomir Cieszyński* — Roczniki katolickie na Rok Pański 1929. Rok VII. Poznań.

Le Bulletin des Missions. Tome IX Nr. 6. Rédaction — Abbaye de Saint - André par Lophem — lez — Bruges, Belgique.

## PRENUMERATA:

**(Dokąd „Szczerbiec” wydawany będzie dwa razy w miesiącu)**

Kwartalnie . . . . . . **1 zł. 50 gr.**
Miesięcznie . . . . **50 gr.**

Po wznowieniu wydawnictwa tygodniowego opłata będzie podwójna.

MIEJSCA WPŁACANIA PRENUMERATY:

1) **Administracja: ul. Leszczyńska 7 m. 2.**
(Od Krakowskiego-Przedm. Oboźną. Dojazd tramwajem linją „P”).
2) **Księgarnia „Kroniki Rodzinnej”, Podwale 4.**
3) **Księgarnia „Przeglądu Katolickiego”, Krak.-Przedm. 71.**
4) **Spółka kolportażowa p. f. „Druk”, — Widok 16 (sklep).**
5) **Konto czekowe w P. K. O. Nr. 13,975.**

Redakcja i Administracja czynna codziennie w godz. 2 — 5.
Warszawa, Leszczyńska 7 m. 2.



Redaktor: M. Friedrich-Brzozowska. — Wydawca: Wydawnictwo „Szczerbiec” Sp. z o. p

Druk. Instyt. Głuch. i Ociemn. w Warszawie, pl. Trzech Krzyży 4-6.